

Wojciech Stanisławski: Portret szympana w wieku średnim

Historia nieszczęsnych aktualizacji Tytusa odtwarza jakby w miniaturze odwieczny dramat – jeśli nawet nie Upadku, to niewiele odeń lepszej Dorosłości, czyli tej nieuchronnej chwili, gdy, jak napisał Robert Penn Warren: „opuszczamy ten dom i wstępujemy w burzliwy świat, przechodzimy z historii w historię i w straszliwą odpowiedzialność Czasu” – pisze Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Papcio Chmiel i jego uniwersum”.

Straszliwie był naznaczony polityką. To znaczy komiks, nie Tytus. Fakt, że nie zajęto się na serio dekomunizowaniem dorobku Papcia Chmiela zawdzięczamy chyba wyłącznie temu, że zagończycy w rodzaju Joanny Siedleckiej czy Lecha Kowalskiego brali za cel Zawieyskiego albo przynajmniej Kiszczaka, nie zniżając się do popkultury. Gdyby jednak ktoś wziął się na serio za lustrację „Tytusów”... Ten wannolot lądujący w Arteku, gdzie płąsa korowód pod odwiecznymi hasłami *Pax Pokój Mup Frieden* (Księga V). Ta zaprawa w szeregach Ludowego Wojska Polskiego (Księga IV). Ten krajobraz pełen git-ludzi i milicjantów. Ci drużynowi w piaskowych bluzach i czerwonych krawatach Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej. Ten dydaktyzm.

Henryk Chmielewski starał się po latach wygumkować kwestie co bardziej polityczne, przynajmniej czerwone krawaty, co zabawnie widać na poziomie opisu bibliograficznego: praktycznie wszystkie tomy

najważniejszego, pierwszego Dziesięcioksięgu, poza Księgą IX („Tytus na Dzikim Zachodzie”) zostały, jak wiernie odnotowuje katalog Narodowej, „przerysowane” bądź „narysowane na nowo”. Z tym, że niewiele to pomogło, Papcio ciągle angażował Tytusa w (meta)politykę, co prowadziło do inicjatyw coraz bardziej ryzykownych. Że chłopcy brali udział w odsieczce wiedeńskiej (Prószyński i S-ka, 2012) i bitwie warszawskiej (2010) to jeszcze pół biedy, bo miło jest, tnąc od ucha, wygrać z bolszewikiem i bisurmanem. Śmiech jednak zamierał nieco na ustach przy „Tytusie, Romku i A'Tomku jako powstańcach warszawskich” (2009) oraz pośmiertnie wydanej pozycji „Tytus, Romek i A'Tomek pomagają księciu Mieszkowi ochrzcić Polskę”. Doprawdy, niemal brakuje mi tupetu, żeby wyobrazić sobie kolejne akty wpisywania dwóch druhów i szympansa w polskie tragiczne doświadczenia tożsamościowe. Na obrzeżach wyobraźni mającą mi skojarzenia („Tytus, Romek i A'Tomek w Stoczni”; „Tytus, Romek i A'Tomek oglądają »Dziady«”, „Tytus pod celą w Białołęce”; i inne, śmielsze jeszcze), które odrzucam z niesmakiem; przede wszystkim, rzecz jasna, na myśl o kolejnych aktach prze- i dorysowywania.

Historia nieszczęsnych aktualizacji Tytusa odtwarza jakby w miniaturze odwieczny dramat – jeśli nawet nie Upadku, to niewiele odeń lepszej Dorosłości, czyli tej nieuchronnej chwili, gdy, jak napisał Robert Penn Warren w najwspanialszej na świecie powieści o miłości, dorosłości i polityce, czyli „Gubernatorze”, „opuszczamy ten dom i wступujemy w burzliwy świat, przechodzimy z historii w historię i w straszliwą odpowiedzialność Czasu”. Zawsze jest tak samo: jabłko, calvados, przymus wydania kolejnego tomu.

*Bohaterowie komiksów i
książek dla dzieci obdarowani
zostali tym, czego na próżno
poszukiwali Gilgamesz i
Kilgore Trout: wieczną
młodością, trwaniem w
doskonałym Teraz*

A przecież mogli
ocaleć. Warto
bowiem zauważyć, że
to właśnie
bohaterowie
komiksów i książek
dla dzieci (oraz, w
mniejszym stopniu,
sitcomów)

obdarowani zostali

tym, czego na próżno poszukiwali Gilgamesz i Kilgore Trout: wieczną młodością, trwaniem w doskonałym Teraz. Z tomu na tom, z księgi na księgę Tytus, Kajko, Asterix, Wilq, Calvin i Hobbes (tygrys, nie filozof) trwają w beczasie, który jest szczęściem, to znaczy nieobecnością przemijania. Owszem, Tytusowi udało się zdać poprawkę z geografii, czyli przejść do następnej klasy (Księga VII) – ale przecież nigdy nie wyszedł poza przedział, najtrafniej zdefiniowany przezeń w zwięzłej recenzji z filmu „Strzały znikąd” (Księga IX): „Dozwolony jest od siedmiu lat, a fajny jak od czternastu”.

Gdybyż wolno im było zostać tam, w podstawówce! Niestety, zawsze jest tak samo. Jak napisała autorka, która zwykle krążyła po nieco innych orbitach niż nieustraszeni astronauta na Karbulocie (Księga III):

*Mimo powabów wyspa jest bezludna,
a widoczne po brzegach drobne ślady stóp
bez wyjątku zwrócone są w kierunku morza.*

*jak gdyby tylko odchodzono stąd
i bezpowrotnie zanurzano się w topieli.*

w życiu nie do pojęcia

Z literackiej wyspy wiecznej młodości prowadzą w świat trzy przede wszystkim szlaki. Pierwszy – to doroszenie, mijanie, modernizacja świata otaczającego bohaterów. Tytusowi, Romkowi i A'Tomkowi zdarzyło się to gdzieś między Księgą XVII i XXIII (na zewnątrz upadał komunizm i Mur Berliński): wokół nich zaczęły pojawiać się komputery, bankomaty, breakdance i pędzone z niedojrzałych makówek bzikotyki. Papcio Chmiel nie szedł za długo tą drogą, Tytus nigdy nie zdecydował się na tribala na łydce ani na Nokię. Papcio nie chciał najwyraźniej zamienić kolejnych ksiąg ani w katalog wysyłkowy smartfonów, ani w skansen gomułkowszczyzny, którą tak cudownie tchnie pierwszych pięć tomów (trzy-czteropiętrowe budynki; szyldy małych zakładów usługowych; ciasne kina, starsze kobiety w chustkach, panowie w jesionkach; gdyby Chmielewski zechciał wtedy zmienić *genre*, mógłby przerzucić się na ilustrowanie opowiadań Marka Nowakowskiego). Wyjściem był, w przypadku kolejnych ksiąg dziejących się w „teraźniejszości”, miszmasz, rekwizytornia, jeden wielki sklep Sue Ryder: zamiast Warszawy i maluchów po ulicach jeżdżą Hondy i Volvo, ale telefonom nadal skręca się spiralny sznur.

Znacznie bogatsza jest jednak rekwizytornia historyczna – i to okazało się ulubionym szlakiem Henryka Chmielewskiego. W kolejnych księgach coraz mniej jest nauk naturalnych (geografii czy geologii), coraz mniej przysposobienia zawodowego – coraz więcej ryzsztunku,

barwy i broni. Papcio Chmiel, niczym nowy Matejko, zaczął umieszczać Tytusa i druhow (z hebesowatością coraz mniej naturalną, coraz bardziej na sterydach) na coraz kunsztowniej udrapowanym tle.

Najosobliwszy, najbardziej okrutny, a zarazem jedyny naturalny jest jednak szlak trzeci: starzenie się bohaterów, wtrącenie ich w strumień Czasu, po którym nie surfują już, jak robił Tytus począwszy od Księgi VIII, lecz płyną i przemieniają się wraz z nim. Chmielewski postawił kilka kroków i na tej drodze – wspomnijmy tylko na ożenek Tytusa w Księdze XXV czy na jego karierę redaktora naczelnego! – i z niej jednak zawrócił.

I całe szczęście: tego bowiem nie robi się bohaterom książek dziecięcych, nigdy i pod żadnym pozorem. Owszem, w nieprzyzwoicie napompowanych kasą, dydaktyzmem i poprawnością trzydcinkowych „sagach” filmowych zdarza się czasami skok o pokolenie (dość wspomnieć „Shreka” czy „Epokę lodowcową”). W najprawdziwszych jednak książkach i komiksach trwa, musi trwać, wieczne teraz. To bowiem jedyne, co odróżnia je od książek dla dorosłych, w których trwa bezradne, daremne i świadome finału kotłowanie się, jak to ujął Penn Warren, w kipieli burzliwego świata i straszliwej odpowiedzialności Czasu.

Czy w ogóle można sobie wyobrazić, na prawach innych niż okrutnego szyderstwa, prawdziwe doroślenie bohaterów książek dla dzieci? Nieraz ze zgrozą wyobrażałem sobie podobne sytuacje, „Dzieci z Bullerbyn po dwudziestu latach”, utrzymane w dodatku w posępnym klimacie prozy skandynawskiej: Lisa wyszła wprawdzie za Ollego, ale nie mogą doczekać się dziecka. Zgorzkniała Anna Anderson żyje sama, opiekując

się już nie Dziadziusiem, a ojcem; Bosse nigdy nie wrócił z wielkiego miasta po tym, jak okaleczył Lassego w krwawej bójce o podział Zagrody Środkowej. Choroby, chciwość, chuć.

*Tytusowi, Romkowi i
A'Tomkowi został zgotowany
niemal jeszcze gorszy los.
Zostali zawerbowani na
wojenkę tożsamościową – i
omal na niej polegli*

Tytusowi, Romkowi i
A'Tomkowi został
zgotowany niemal
jeszcze gorszy los.
Nie wydorośleli
wprawdzie fizycznie,
by stać się, jak na
genialnym rysunku
Arkadiusza Klimka,

facetami po czterdziestce (Co to za grafika! Romek z zakolami, A'Tom z dziarami, obaj w kurtkach M-51, które dostać można tylko w najlepszych sklepach z gadżetami wojskowymi, chociaż na A'Tomku się ona nie dopina; Tytus z twarzą rozumną, małpią, gorzką, z głęboko osadzonymi oczami. Za nimi *kaboom* wybuchu. Nie ma tygodnia, żebym nie patrzył na ten rysunek – jak w lustro). Zostali jednak zawerbowani (przez naiwność, nie przez cynizm swego twórcy) na wojenkę tożsamościową – i omal na niej polegli.

Nie wolno tak. Największy z pisarzy dla dzieci spojrział w tę przepaść, która zaczyna otwierać się z pierwszym dniem Szkoły – i zawrócił. „I poszli, trzymając się za ręce. I dokądkolwiek pójdą, i cokolwiek im się zdarzy po drodze, mały chłopczyk i jego Miś będą zawsze bawić się wesoło ze sobą w tym Zaczarowanym Miejsu na skraju Lasu”.

I tak ma być. Tytus, Romek i A'Tomek mają zostać właśnie tam – w Pierwszym Dziesięcioksięgu, pozaczasowym, mimo bluz haespeesu. Nie warto kupować tomów późniejszych, jeśli nie chcemy spotkać Tytusa w wieku średnim. I nie trzeba stawiać kropek nad i, przerzucając druhów, niczym dywizję desantowo-szturmową polityki historycznej, to pod Wiedeń, to pod Radzymin. Nas, starych koni w niedopinających się na brzuchu kurtkach M-51 i tak nauczono czytać między wierszami – i dobrze wiemy, że najwspanialszy tekst Tytusa, czyli „...Się mi bo... zgubiło »S« na koszulce” dotyczy tak naprawdę nie tekstyliów, nie podróży w czasie, lecz roztrwonienia etosu i wspólnoty „Solidarności”.

Wojciech Stanisławski

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.